

„23” Beata i Eugeniusz Dębscy

...Zaniósł kawy do pokoju. Kropka, siedząca już na „swoim” krześle uważnie sprawdziła czy nie postawił na stole talerzyka z ciasteczkami. Sapnęła z dezaprobatą. Babcia Roma zmieniła okulary, przesunęła w jego stronę bloczek i długopis. Sama zaczęła tasować karty.

- To mama dzwoniła?

- Tak. Twój zięć ma się lepiej z dnia na dzień.

- Sprawdziała czy, broń Boże, nie idę w ślady siostry.

- Tak. Oczywiście. Dziwisz się?

Uderzyła kantami talii o stół, wyrównała je, podała do przełożenia.

- Nie. To koszmar. Gdyby was nie było zabiłabym ją i siebie – powiedziała zupełnie serio.

- Myślę, że nie. Ale byś się umęczyła, to na pewno.

- Chcesz powiedzieć, że w tej sytuacji nie męczę się, bo ty się zajmujesz mną, a moją skretyniałą siostrą moja córka?

- Babciu, znasz mnie – jak chcę coś powiedzieć, to mówię, jak nie chcę, to ukrywam to lepiej niż ci się wydaje.

Przełożył karty, trzema kreskami wyrysował tabelkę do tysiąca.

Babcia nie była w dobrym humorze. Wyraźnie parła do zwady. Rozdała karty, dwa musiki, reszta dla graczy. Układała swoje, ale miała spojrzenie raczej gdzie indziej lewitujące.

- Znalazł mnie pewien facet, niewiele o nim wiem – zagaił z innej beczki, wiedząc, jak można utracić zły humor.

- Hm? – mruknęła, rzuciwszy jedno ostre spojrzenie znad okularów.

- Chce mnie zatrudnić.

- Masz się turlać po materacach z gówniarzami z dobrze sytuowanych ale nie dobrych domów?

- Nie. – Ułożył swoje karty. Sześćdziesiątka z ręki. Dama do osiemdziesiątki. – Ja – sto.

- Dam dziesięć. A na czym ma polegać ta praca?

Udawał, że liczy.

- Sto dwadzieścia. Mam znaleźć dowody, że określony osobnik zabił jego żonę.

- U-u! – opuściła głowę i patrzyła na niego nad szklami. – Brzmi nieźle.

- Tak. Choć trochę nie halo dla samotnego cywila.

- Myślisz? Trzydzieści.

- Graj.

Odkryła musik z prawej. Król karowy, walet kier, dziesiątka trefl. No to musi mieć setkę.

- A płaci?

Na to pytanie czekał. Był pewien, że odpowiedź wytrąci babcię ze złego humoru. Nieważne, weźmie to zlecenie czy nie. Będzie o czym gadać przez kilka następnych tygodni. Albo w stylu – co kupimy. Albo – co moglibyśmy kupić, ale nie kupimy...

- Daje sto tysięcy za miesiąc. Dałaś mi kartę? – niedbale.

Zwinęła nieskazitelnie, precyzyjnie ułożony wachlarz, plasnęła nim o stół. Zapomniała o siostrze i córce.

- Powtórz, proszę.

- Pytałem, czy dałaś mi kartę.

- Tomaszu! Tak ci wpierdole, że nie siądziesz na dupie.

Prychnął.

- Przecież dobrze się wyrażałem o słuchu w naszej rodzinie. Dobrze usłyszałaś. Sto tysięcy złotych za miesiąc dochodzenia. Bez względu na wynik. Jeśli udowodnię, że ten gość zabił jego żonę – trzysta tysięcy.

Rozważała chwilę tę propozycję.

- Coś dużo... - szepnęła w końcu.

- No, babciu, dużo, bo to nie w kij dmuchał, prawda? Jak mnie policja nakryje, to mało szans, że uda ślepa. Dobrze, jak nie oskarżą o umyślne zacieranie śladów. Zawsze wpięprzą, tyle że mogą mocno, a mogą słabiej, ale wpierdol nie ominie. To raz. Po drugie – jak to robić nie mając papierów, nakazów, mocy prawa, ogólnie mówiąc? Po trzecie, zleciodawca twierdzi, że ma dowody, ale policja ich nie chce. Co to znaczy?

- Albo policji na rękę ten stan, jaki teraz mają. Albo... - zawahała się - ... to, co jest jego zdaniem dowodem nic nie jest warte?

- Albo w ogóle nic nie ma, tylko tak gada, żeby mnie przekonać.

Milczeli oboje długą chwilę. Wiedzieli, i ona, osiemdziesięcioletnia staruszka, niewierząca, nie utyłana przez poprzedni ustrój, racjonalistka i humanistka, on – humanista, lekko sponiewierany przez układy w pracy, trzeźwo maszerujący przez życie, że sprawa może mieć i pewnie ma drugie dno, a może i trzecie.

Babcia nagle rozłożyła karty, zawistowała w asa kier. Zrzucił dziewiątkę.

- Sto! – Roma położyła damę kierową. Zabił ją dziesiątką. – Jednak miałeś, draniu – mruknęła pod nosem.

- Sześćdziesiąt! – Triumfalnie zameldował damą trefl. Nie przebiła, podłożyła waleta. Aha, czyli as jest w drugim musiku, warto go zgarnąć, czyli zacząć się na ostatni sztych. – I po sześćdziesiąt! – wycykał babcie z trumfów królem. Oddała dziewiątkę, dziesiątkę zostawił sobie na ostatnią wziętkę. Zawistował asem pik, spadła dziesiątką. O? czyżby babcia miała jeszcze czterdziestkę? – No to w piki! – położył waleta pik.

Rzuciła mu ponure spojrzenie. Przebiła waleta królem.

Ha! Udało się rozbić meldunek! Jeszcze kilka wistów, ostatnią lewa na dziesiątkę atutową.

- Uhu-hu! Babcia ma w tyły! – oświadczył. Policzył swoje wziętki plus dwa musiki plus meldunek. – Ja mam sto pięćdziesiąt, czyli tobie zabrakło.

- Ale jakby się udało... - powiedziała wolno Roma.

Doskonale wiedział, co ma na myśli. Zupełnie nie przejmowała się przegraną grą. Tomasz też, ale chciał sprowokować babcie do większego wzruszenia. Takie było zalecenie lekarzy – zwawsze dyskusje, energiczne myślenie, trochę emocji.

- Ale się nie udało. Zapisuję minus sto trzydzieści.

- Nie przeginaj, Tomaszku. Wiesz, o czym mówię. O tych czterystu tysiącach.

- A nie o zadośćuczynieniu sprawiedliwości? – zapytał przekornie.

- Też. Ale za te pieniądze ustawiłbyś się w życiu, przestał martwić o jutro, choć nie masz poważniejszych powodów! – szybko zastrzegła się. – A najważniejsze, ty wiesz przecież – pokazałbyś ogromnego fucka swoim przyjaciołom i nieprzyjaciołom.

- Pod warunkiem, że ten gość nie jest paranoikiem, że ktoś zabił... - Przypomniał sobie notki gazetowe. – Dobra, zabił jego żonę. Ale nie mamy pewności, że ów lekarz. – Przypomniał sobie nagle słowa Szeremety: „...mordercą jest lekarz, jeden z tych, którzy zeznawali przeciwko panu, to była zmowa, pan wie przecież...”. Tego babcia nie musi wiedzieć. – W każdym razie niewiele jest pewnych rzeczy w tej sprawie.

Babcia zgarnęła wszystkie karty, odruchowo podzieliła na dwie części, przetasowała.

Złożyła, przesunęła w stronę wnuka.

- Rozdajesz.

Wziął karty, przetasował. Odłożył.

- Jakoś nie mam ochoty na tysiąca – powiedział. – Przepraszam.

- Ja też. Za szybko trzeba myśleć, a ja mam mózg teraz załadowany prezentami, jakich będę się domagać, jak już dostaniesz swoje pieniądze – uśmiechnęła się Roma. – Ja sobie pasjansa postawię, a ty idź myśleć. Tylko daj mi papierosa. Jednego! – syknęła widząc, że wnuk otwiera usta do protestu. – Zróbmy tak – po fajce i malutkim... Jak to pisał Andrzej Waligórski o swojej żonie?

- A Lesia wypita sobie jedną małą wódeczkę –zacytował Tomasz wstając z krzesła.

- Właśnie. Wypijmy sobie po jednej małej wódeczce.

Poszedł do kuchni, przyniósł na tacy popielniczkę, dwa napełnione koniakiem kieliszki.

Zapalili. Babcia z przyjemnością zaciągnęła się camelem.

- Idź sobie. Nie musisz widzieć mojego upadłania się.

Obszedł stół, pocałował ją w podstawiony policzek.

W swoim pokoju dopalił papierosa przy uchylonym oknie. Nie udało mu się skupić na jakiejś konkretnej myśli. W głowie kotłowało się, tasowało, myśli goniły się, potraçały i gasiły jedna drugą.

„Spać. Spać? Urąbać się. Z kim pogadać? Z nikim, pieprzę doradców. Uwalę się. Która godzina?”.

Była osiemnasta z minutami. Za wcześnie na spanie, na uwalenie się, nie miał tyle alkoholu, żeby pić cztery godziny, żeby paść o przyzwoitej dwudziestej, nie chciało mu się wychodzić po alkohol.

- Kropka, idziemy na spacer! – Suka podwinęła ogonek i chyłkiem ruszyła pod fotel. Złapał ją zanim ukryła się cała, w przedpokoju nałożył obrożę i przypiął smycz.

Wypalił na trawniku papierosa, w ustach zaczynał się pieklić gorzki dymowy posmak. Za dużo papierochów. Wrócił tak samo rozwichrzony jak wyszedł, świeże powietrze nie pomagało w podjęciu decyzji.

Babcia wyłączyła górne światło, siedziała w fotelu i udawała, że ogląda telewizję.

„Chce, żebym myślał, że jestem sam. Sam podejmuję decyzję. Duży chłopiec”.

Wyjął z szuflady starą Nokię, starszą siostrę aktualnie wykorzystywanego smartfona, po złamaniu simlocka używał jej jako telefonu na kartę. Telefon do poruczeń specjalnych.

Odrzucił wszelkie wahania, otworzył klapkę i wystukał numer z wizytówki Szeremety.

- Dobry wieczór. Winkler. Biorę pana zlecenie. Proszę wykreślić z pamięci i karty moją komórkę. Ta jest ta, która posłuży nam do kontaktów. Panu też radzę kupić jakiegoś rzęcha na kartę. W każdym razie - na tamtej nie będę pana odbierał. Czy możemy się spotkać jutro? Przed południem?

- Tak. Oczywiście. Zaraz podjadę gdzieś i kupię komórkę. Jutro możemy o dowolnej porze. Jedenasta?

- Dobrze. Jedenasta.

- „U Spychały”? – podpowiedział Szeremeta.

- O nie. Kończymy z kontaktami, które mogą kogoś naprowadzić na trop naszych... spotkań. Jedenasta, kawiarenka Empiku. Do widzenia.

- Ja... Tak... Do widzenia.

Chyba chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Tomasz wduślił przycisk z podświetloną czerwoną słuchawką. Cisnął komórkę na biurko.

„No i po ptokach. Albo się wdupiłem, drugi raz w życiu... Albo... albo nie. – Prychnął do myśli. – Ja pierniczę! Śni mi się, czy co? Czy ja się śnię jakiemuś autorowi kryminałów? Może jestem postacią w filmie... Jaki to był film?... „Szósty zmysł”? Nie, tam było co innego... Tak, co innego się uwalić z radości, co innego ze złości, a jeszcze co innego tak jak ja teraz... Gdzie gorzałeczka, gdzie koniaczek? Cholera, zabraknie. Jak boga Kocham, będę latał po nocy do paśnika...”.

...

Rozwalił się w fotelu. Pomyślał, że mógłby teraz przeszukać, jak to zrobił z Szeremetą, Facebook, Naszą Klasę i inne Twittery na okoliczność życia tam sześciu lekarzy, ale nie chciało mu się. Jakoś nie miał przekonania do tej operacji, a nauczył się ufać swojej intuicji, jeśli optowała za bezczynnością – ulegał jej.

Chciał sięgnąć do pilota, żeby włączyć cicho radio, gdy w korytarzu rozległ się dźwięk dzwonka.

Zaskoczony i zaniepokojony ruszył do drzwi. Deski w przedpokoju rozjazgotowały się w proteście: „O tej porze się już nie chodzi, proszę pana!”.

Otworzył drzwi.

Na wycieraczce stał kurier z paczką w ręku.

- Przesyłka ekspresowa do pana Winklera.

- To ja.

- No to niech mi pan tu szrajbnie podpisik.

Podsunał mu terminal z matowym ekranikiem i rysik. Winkler naskrobał coś na kształt podpisu, oddał rysik i przejął paczkę w dużej mocnej plastikowej kopercie.

Zamknął drzwi za kurierem. Pomaszerował do kuchni obracając paczkę na wszystkie strony. Na formularzu nadania widniały jakieś kreski, które nie były kodem kreskowym ani serią hieroglifów, ale treść kryły równie jak one skutecznie.

Wbił ostrze noża w luźny fałd koperty. Za plecami usłyszał skrzypienie desek, dużo cichsze niż w jego przypadku. Babcia była przecież lżejsza.

Podeszła i chwyciła go za łokieć, ale nie odezwała się.

Wyjął z koperty kartonowe pudełko.

- Martell, proszę babci.

- Boziu, jak ja kocham ten koniak! – westchnęła babcia Roma.

Odchrząknął.

- Bez przesady, to tylko Martell Noblige. – Popatrzył na babcię. – Nie denerwuj się. To dobry trunek. Daj te kieliszki.

Babcia ruszyła do szafki obok okna.

Winkler wyjął z koperty jeszcze jedną paczkę. Płaska i dość ciężka. Stał i ważył ją w ręku, gdy Roma wróciła z dwiema koniakówkami w dłoniach.

- A to co? – zapytała. – Zakąska?

Zachichotała. Albo podchmieliła się tym jednym kieliszkiem, albo skorzystała ze spaceru wnuka z psem i walnęła sobie jeszcze jedną lub dwie małe wódeczki.

- Zakąska... Jeśli się nie mylę to może to być tona kawioru, babciu.

Zastanawiała się chwilę. Pozwolił jej na to.

- Tomaszku – szepnęła po chwili. – Czy to jest naprawdę to, co myślę?

- Ta.

Szarpnął za róg opakowania, poszło dość łatwo.

Na stół wysypały się paczki banknotów.

Dziesięć.

Ładne nowe setki.

- Tomasz – wychrypiąca babcia Roma. – Daj mi papierosa! – i, strzeliwszy w jego stronę ostrym spojrzeniem, dodała: - Tylko mi nie mów, że nas na fajki nie stać!